



Maggie Stiefvater

BALLADA

TANIEC MROCZNYCH ELFÓW

PRZEŁOŻYŁA:
Karolina Socha-Duško


illuminatio

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Ballad: A gathering of Faerie

Redakcja: Agnieszka Stankiewicz
Korekta: Natalia Celer
Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska, Czartart
Skład: skladigrafika@gmail.com

BALLAD: THE GATHERING OF FAERIE
Copyright © 2009 Maggie Stiefvater
Published by Flux,
an imprint of Llewellyn Publications
Woodbury, MN 55125 USA
www.fluxnow.com

Copyright © for Polish edition by ILLUMINATIO Łukasz Kierus 2011

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2011
ISBN: 978-83-62476-09-1



Wydawnictwo ILLUMINATIO Łukasz Kierus
E-mail: wydawnictwo@illuminatio.pl
Dział handlowy: zamowienia@illuminatio.pl

Książki wydawnictwa kupisz w:
www.CzaryMary.pl
www.TaniaKsiazka.pl



*Mojej Mamie,
która pokazała mi wróżki w lesie*

Leanan Sídhne*

Przywykłam do roli łowczyni. Jeśli zobaczyłam coś, czego zapra-

gnęłam, węszyłam, tropiłam to, a w końcu przywłaszczałam. „To”, czyli „jego”, oczywiście. Lubiłam młodych, zdolnych, płci męskiej. Jak najprzystojniejszych. To dodawało smaku. Musiałam na nich patrzeć, nim umrą, więc czemu nie mieliby być ładni?

Nie byłam okrutna. Byłam szczodra. Wszyscy oni błagali o to, co im ofiarowałam: piękno, inspirację, śmierć. Zmieniałam zwyczajne życie każdego z nich w coś niezwykłego. Nie mogło ich spotkać nic lepszego – żadnego z nich.

Tak naprawdę byłam nie tyle łowczynią co dobroczyńcą.

Ale dzisiaj, w tym jesiennym lesie, nie byłam ani jednym, ani drugim. Ktoś mnie wezwał, wyrwał z mojej nieuchwytnej i niewidzialnej formy, aż znalazłam się w realnym ciele. Nie widziałam nikogo, ale ciągle wyczuwałam resztki czaru. Słyszałam własne kroki na suchych liściach i niepokoił mnie ich dźwięk. Czułam się bezbronna w tym krwawoczerwonym lasku, zbyt hałaśliwa i dobrze widoczna w postaci śmiertelnej dziewczyny – i nie byłam do tego przyzwyczajona. Dookoła czuć było palonym tymiankiem i liśćmi, czarami wezwania i jesiennymi ogniskami. Kiedy tylko zdołam zaczepić się o jakąś ludzką myśl, ucieknę stąd.

– Witaj, fejo.

Odwróciłam się i zdążyłam jedynie zobaczyć żelazny pręt zbrojeniowy walący mnie prosto w twarz.

* Powinno wymawiać się: „Lianan Szi”. Jest to nazwa używana w Irlandii na określenie kobiety w formie elfa lub feja, która charakteryzuje się niezwykłą urodą, wykorzystywaną do uwodzenia utalentowanych mężczyzn, w szczególności muzyków i poetów. W zamian za natchnienie i inspirację, które ofiarowuje artystom, czepie od nich siły życiowe aż do chwili, kiedy wyczerpany wybranek umiera.

Utwórz wiadomość tekstową:

140/200

Do: James

Nadal jesteś jasnowidzem? Widzisz naszą przyszłość w TA? Mam wrażenie, że wydarzenia minionego lata ciągle nas prześladowają. A myślałam, że już po wszystkim.

Od: Dee

Czy wysłać wiadomość? t/n

Nie wysłano wiadomości

Czy zapisać wiadomość? t/n

Wiadomość będzie przechowywana przez 30 dni

Muzyka to moje życie.

Przed złożeniem dokumentów przeczytałem wszystkie broszury o szkole muzycznej Thornking-Ash. Dowiedziałem się, że szkoła będzie rozwijała nasze dobrze zapowiadające się zdolności muzyczne. Obiecywano naukowe wyzwania. Broszurki snuły wizje wszechstronnie utalentowanych supernastolatków, którzy po zakończeniu szkoły średniej władają umiejętnościami naukowymi, pozwalającymi pokonać elitarne uczelnie Ivy League jednym ciosem przedmiotów nadprogramowych.

Myślałem sobie wtedy: „No fajnie”. Poza tym Dee się tam wybierała, więc ja też musiałem.

Tak jednak było, zanim faktycznie wyjechałem. Na miejscu okazało się, że szkoła to szkoła; Margaret Thatcher powiedziałaaby: „Jak zwał, tak zwał”. Owszem, byłem w Thornking-Ash dopiero siódmy dzień, więc może nie miałem pełnego obrazu, ale cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną, i szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, jak zajęcia z teorii muzyki i spanie w internacie miało odróżniać nas w jakikolwiek sposób od uczniów zwykłej szkoły średniej.

Czułbym się chyba inaczej, gdybym grał na jakiejś cholernej wiolonczeli albo czymś takim: mógłbym wtedy dołączyć do jednego z ośmiu milionów zespołów działających w kampusie. Kiedy ludzie mówią „muzyk”, jakoś nigdy nie mają na myśli dudziarza.

Jeśli jeszcze raz usłyszę „muzyk ludowy”, to komuś przyłożę.

W każdym razie od pierwszego do szóstego dnia byliśmy (ja i reszta klasy) „wprowadzani”. Poznawaliśmy miejsca, w których się odbywają zajęcia, jak nazywają się nauczyciele, kiedy w stołówce są podawane posiłki, dowiedzieliśmy się też, że drzwi na czwartym piętrze w moim internacie się zacinają. Piątego dnia wiedziałem już, o co chodzi. Szóstego weszło mi to w nawyk. Siódmego – zacząłem się nudzić.

Tego właśnie wieczora siedziałem w samochodzie mojego brata i słuchałem muzyki – chociaż serwowanej na wścickło – pobrzmiwającej nutą tęsknoty. Przeczytałem gdzieś o tym, jak naukowcy przeprowadzali badanie, w czasie którego jednej grupie szczurów puszczali rocka, a drugiej – muzykę klasyczną. Nie pamiętam szczegółów, ale po kilku tygodniach eksperymentu szczury, które słuchały muzyki klasycznej, spokojnie wspinały się po drabinie kariery i nosiły skarpetki do sandałów, a szczury, którym puszczano rocka, stały się kanibalami i rozrywały się na kawałki. Nie jestem pewien, co miał udowodnić ten eksperyment i nie orientuję się, czego słuchały „rockowe” szczury. Wiem tylko, że gdybym musiał słuchać bez przerwy Pearl Jamu przez dwa tygodnie, to też zjadłbym swojego współlokatora.

Tak czy siak był to na pewno siódmy wieczór, bo miałem siedem znaczków na wierzchu prawej dłoni. Sześć pionowych kresek i jedna pozioma, która je przekreślała. Siedząc w swoim własnym małym świecie o szarym wnętrzu, podkręciłem basy tak bardzo, że czułem je w pośladkach. W internacie obowiązywał nakaz zachowania ciszy, zwłaszcza kiedy uczniowie mieli ćwiczyć, więc trudno było znaleźć miejsce, żeby posłuchać muzyki. To właśnie nazywa się ironia.

Patrzyłem, jak zachodzące słońce zostawia czerwoną smugę za budynkiem internatu. W przeciwieństwie do innych georgiańskich gmachów z kolumnami ten nie rościł sobie jakichkolwiek pretensji

do bycia ładnym. Było to zwykłe pudełko z tysiącami niemrugających oczu w postaci okien.

Muzyka w samochodzie grała tak głośno, że z początku nie usłyszałem pukania w okno. Twarz pukającego dziwnie mnie zaskoczyła: okrągła, pospolita, niepewna siebie. To był Paul, mój współflokator, który grał na oboju.

W szkole sądzono chyba, że się dogadamy, bo obydwaj gramy na instrumentach dętych, bo poza tym kompletnie nic nas nie łączyło. Otworzyłem okno.

– Chcesz do tego frytki? – zapytałem.

Paul roześmiał się o wiele głośniejszym głosem niż wymagał tego żart, i zrobił minę, jakby był z siebie dumny. Chyba się mnie bał.

– Dobrze, stary.

– Do usług. Co tam?

– Szedłem właśnie do pokoju, żeby zrobić... no wiesz. – Pomachałem zeszytem, jakby miało mi to coś powiedzieć. – Zadanie z różniczkowania. Nadal chcesz się tym zająć?

– Chcę? Nie. Muszę? Tak. – Ściszyłem radio. Nagle zdałem sobie sprawę, że mimo gorąca mam gęsią skórę. Wystawiłem rękę na zewnątrz samochodu. Moja podświadomość jasnowidza szeptała w niezrozumiałym języku, zalewając mnie falą zimna, i dyskretnie ostrzegła: „Dzieje się tu coś niedobrego”. Było to uczucie, które uznałem już za przeszłość, bo nie czułem tego od początku wakacji. Zmusiłem się, by spojrzeć na Paula. – Tak, jasne.

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz ulgi, jakby się spodziewał, że mu odmówię. Zaczął paplać o naszym nauczycielu, o różniczkowaniu, o kolegach z klasy. Gdybym nawet nie był skupiony na tym, jak lodowata strużka potu spływa mi po skórze, nie zwróciłbym uwagi na jego gadaninę. Ludzie za dużo mówią; jeśli posłucha się tylko początku i końca, środkiem wypowiedzi nie trzeba się zajmować. Nagle jedno sformułowanie Paula zwróciło moją uwagę, jakby

jeden głos oderwał się od pozostałych. Przekręciłem gałkę i wyłączyłem radio.

– Powiedziałeś: „Tak śpiewają zmarli”.

Paul zmarszczył brwi.

– Co?

– Tak śpiewają zmarli. Powiedziałeś to?

Pokręcił stanowczo głową.

– Nie. Powiedziałem: „To śpiewają z nami”. Miałem zajęcia ze śpiewu z nut. Prowadzi je...

Otworzyłem drzwiczki i pokiwałem głową, zanim skończył zdanie. Nawet bez radia słyszałem muzykę. Ciągnęło mnie do niej, była ważniejsza, niż Paul kiedykolwiek mógł się stać.

Spróbowałem dobrać słowa i odezwać się do niego pełnym zdaniem.

– Hej, spotkamy się w pokoju za parę minut, dobra? Za parę minut.

Zupełnie jakby to źle usłyszane sformułowanie: „Tak śpiewają zmarli” otworzyło drzwi, przez które zaczęła dobiegać muzyka. Niecierpliwa nachalna muzyka: wznosząca się molowa melodia z mnóstwem dziwnych archaicznych alteracji. Nucona niskim męskim głosem, który przypominał mi wszystko, co niedostępne. Paul wybąkał słowa zgody, a ja wysiadłem z samochodu, zatraskując drzwi.

– Muszę biec – powiedziałem.

– Nie wiedziałem, że biegasz – odrzekł Paul, ale mnie już nie było.

Popędziłem przez parking koło kwadratowych internatów, minąłem Kolegium Yanceya z kremowymi kolumnami i Kolegium Sewarda z fontanną ze śmiejącym się satyrem. Moje trampki kłapały po wykładanym kostką chodniku w rytm pieśni, poddając się jej przyciąganiu.

Muzyka przybierała na sile, mieszając się z tą w mojej głowie – tkaniną jasnowidzenia, która dawała orientację, podpowiadając, gdzie

jest moje miejsce na ziemi. Brukowany chodnik skończył się, ale ja biegłem dalej, potykając się w nierównej, wybujałej trawie. Czulem się tak, jakbym zeskakiwał z krawędzi świata. Popołudniowe jesienne słońce jaśniało zza pagórków, a ja zdołałem tylko pomyśleć, że jestem spóźniony.

I oto nadszedł – kimkolwiek był – oddalony, ledwie dostrzegalny na wzgórzach. Był właściwie sylwetką, ciemną postacią nieokreślonego wzrostu, zarysowaną na bezkresnym grzbiecie wzgórza oślepiającego złota. Jego ręce były wyciągnięte wzdłuż boków, opadając w dół w geście zdającym się nakazywać ziemi, by znieruchomiła. Zanim oddalił się na tyle, że przestałem go dostrzegać na tle ciemnych drzew, zatrzymał się.

Muzyka brzmiała dalej, była głośnie, słyszałem ją jakby w słuchawkach, jakby mój mózg tworzył ją dla siebie samego. Ale teraz już wiem, że nie była skierowana do mnie. Była przeznaczona dla kogoś lub czegoś innego. Po prostu miałem pecha ją usłyszeć.

Czulem się zdruzgotany.

On odwrócił się w moją stronę. Przez dłuższą chwilę stał przodem do mnie. Byłem przykuty do ziemi, zakotwiczony w niej, ale nie przez jego muzykę, która zagłuszała muzykę w mojej głowie i ciągle wzywała: „Rośnij, wstawaj, chodź”, tylko przez jego niezwykłość – przez palce, rozpostarte nad ziemią, jego ramiona, kanciaste, świadczące o sile i niezwykłości, a przede wszystkim przez olbrzymie, sękaty poroże wyrastające z jego głowy, rozpościerające się na tle nieba jak gałęzie.

Potem zniknął. Nie zauważyłem jego odejścia i zabrakło mi jego obecności w chwili, kiedy słońce zapadło za krawędź pagórka, pozostawiając świat zmierzchowi. Zostałem, lekko zdyszany, czulem pulsowanie w bliźnie nad lewym uchem. Wpatrywałem się w miejsce, gdzie wcześniej stał. Nie mogłem się zdecydować, czy żałuję, że zobaczyłem roгатą postać i chciałbym wrócić do codzienności, czy

wolałbym dotrzeć tu wcześniej, aby się dowiedzieć, dlaczego znowu widzę takie postaci.

Trzeba było wracać do szkoły, ale zanim zdążyłem się odwrócić, coś twardego szturchnęło mnie na wysokości pasa i ledwo utrzymałem równowagę. Właścicielka ciała wydała okrzyk: „O Boże, przepraszam!”.

Głos był znajomy: to Deirdre. Moja przyjaciółka. Czy mogłem ją nadal tak nazywać?

– Nic się nie stało – wydusiłem. – Nie potrzeba mi do życia obu nerek.

Deirdre obróciła się. Miała zarumienioną twarz. Mina zmieniła jej się tak szybko, że zdążyłem zapomnieć, jaka była wcześniej. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Widziałem ją ostatnio w wyobraźni tyle razy – zwłaszcza jej szare oczy dominujące nad drobną twarzą – że dziwnie było zobaczyć ją na jawie.

– James, James! Widziałeś Ich? Musieli przejść tuż obok ciebie!

Byłem zmuszony wziąć się w garść.

– Jacy Oni?

Odsunęła się ode mnie, mrużąc oczy, by spojrzeć na wzgórze, w stronę, gdzie powoli zapadał zmrok.

– Fejowie. Nie wiem... Czterech? Pięciu?

Przerażała mnie totalnie; poruszała się tak szybko, że jej krótko obcięty ciemny kucyk zataczał kółka.

– Dobra, Dee, czekaj, stój spokojnie. Dostanę przez ciebie choroby morskiej. Jak to fejowie? Znowu?

Deirdre zamknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, nie była już taka narwana.

– Głupota. Wariuję chyba po prostu. Mam wrażenie, że widzę Ich wszędzie.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. W sumie boleśnie było patrzeć na nią w sposób, o jakim już zapomniałem. Czułem się jakby

ktoś wyciągał spod mojej skóry powoli drzazgę. Dziewczyna pokręciła głową.

– Jak można być takim głupkiem? Naprawdę od wieków cię nie widziałam, a już kwiczę w ciągu pierwszych pięciu minut. Powinnam wyłączyć ze skóry z radości. Przepraszam, nawet nie miałam okazji się jeszcze z tobą spotkać.

Pomyślałem przez moment, że po „przepraszam” będzie coś jeszcze. Coś głęboko znaczącego, co udowodni, że ona rozumie, jaką sprawiła mi przykrość.

Kiedy się tak nie stało, naprawdę miałem ochotę się naburmużyć i sprawić, żeby jej było źle, ale nie miałem na to dość odwagi. Zamiast tego przybyłem z pomocą jak szarmancki masochistyczny idiota, którym zresztą jestem.

– Cóż, w folderach stało przecież jak byk, że kampus ma ponad piętnaście akrów. Mogliśmy się tu mijać całymi latami.

Deirdre przygryzła wargę.

– Nie miałam pojęcia, że plan zajęć będzie taki pokręcony. Ale... no... cieszę się, że cię widzę.

Nastąpiła długa niezręczna cisza i zazwyczaj byśmy się uścisnęli. Tak było aż do ostatnich wakacji, aż do Luke’a i mojego SMS-a, o którym żadne z nas nie umiało zapomnieć.

– Ale się opaliłaś – powiedziałem. Kłamstwo, Dee się nie opalała.

Dee niby się uśmiechnęła.

– Ostrzygłeś się.

Przesunąłem ręką po głowie, zatrzymując palce nad świeżą blizną nad uchem.

– Musieli mi ją ogolić, żeby założyć szwy. Zgoliłem całą, żeby było równo. Chciałem sobie wygolić moje inicjały, ale pewnie cię to zdziwi, dopiero wówczas do mnie dotarło, że brzmią one „JAM”, zupełnie jak „dzem”. Upokarzające.

Dee się roześmiała. Absurdalnie, ale sprawiło mi to przyjemność.

– Nawet do ciebie pasuje – powiedziała. Patrzyła na moje ręce i na bazyliki pokrywające je aż do nadgarstków. Nie zostało dużo wolnego miejsca. Chciałem się dowiedzieć, co u niej, zapytać o fejsów, o SMS-a, ale nie mogłem powiedzieć niczego ważnego.

– Lepiej do mnie niż do ciebie.

Roześmiała się znowu, nie był to prawdziwy śmiech, ale nie szkodzi, bo tak naprawdę nie chciałem zabrzmieć zabawnie. Chciałem po prostu coś powiedzieć.

– Co wy tu robicie?

Oboje z Dee odwróciliśmy się i stanęliśmy twarzą w twarz z nauczycielką Eve Linnet. To ta od dramaturgii. W słabym oświetleniu przypominała małego bladego ducha. Jej twarz może byłaby ładna, gdyby nie ten grymas:

– To nie jest teren szkoły.

Coś mi nie pasowało, chociaż jeszcze nie wiedziałem co. Linnet przyszła ze strony wzgórz, nie od szkoły. Wysunęła szyję, wydawało się, że dopiero teraz zauważyła Deirdre. Twarz Dee była czerwona, jakbyśmy zostali przyłapani na czymś niewłaściwym.

– Nie wiem, do jakich szkół wcześniej chodziliście, ale tu nie pozwala się na takie zachowanie – powiedziała kąśliwie.

Aż do ostatnich wakacji zażartowałem jakoś na temat mnie i Dee – że jestem niewolnikiem jej miłości od urodzenia albo że nic się nie dzieje, bo Dee jest uczulona na pewne chemikalia wydzielane przeze mnie. Ale powiedziałem tylko: „To nie to, co pani ma na myśli”.

Wiem, że to brzmiało jak przyznanie się do winy, i ona na pewno też tak pomyślała, bo odrzekła: „Och, tak? To co wy tu robicie?”.

Bingo. Popatrzyłem w stronę wzgórz, a jej wzrok od razu podążył za moim.

– Czekaliśmy na panią.

Dee spojrzała na mnie ostro, ale nie tak jak pani Linnet. Tamta miała zły czy też zaleźniony wyraz twarzy. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. W końcu odezwała się:

– Nikt z nas nie powinien teraz tutaj być. Wracajmy do internatu, a ja po prostu zapomnę o całej sprawie. To bardzo zły początek roku szkolnego.

Kiedy pani Linnet odwróciła się, by nas odprowadzić do szkoły, Dee posłała mi pełne podziwu spojrzenie, a potem przewróciła oczami w stronę nauczycielki, co znaczyło: „Wariatka!”.

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się do Dee. Nie miałem jednak wrażenia, że Linnet ma problem z głową. Może nie tylko ja popędziłem na spotkanie z tamtą muzyką.